

Flaszka

Niby nic takiego – zwykła butelka.

A wystarczy ją postawić na środku jezdni i już mamy problem.

Było wpół do piątej rano i – jak zawsze o tej porze – nadchodził ból. Najpierw poczułem w nadgarstkach słabe mrowienie. Po chwili rozeszło się po przedramionach i zagnieździło z całym „mrowiskiem” wyżej.

Wiedziałem, że zaraz zdrętwieją mi obie ręce. Niewidzialna inwazja steranych komórek trwała niespełna trzydzieści sekund. Umościły się w legowiskach ze złośliwą satysfakcją, czekając na reakcję pozostałych narządów. Niech się matka natura nie gniewa, ale ta część ludzkiego istnienia wydaje mi się dosyć egoistyczna.

Próżny trud, ból to ból, można z nim wypić bruderszaft, ale i tak w końcu się go znienawidzi jak oszusta, który zakrada się do świadomości, nie czekając na zaproszenie.

Cóż, jestem tylko nocnym zamiataczem ulic.

Nic szczególnego się nie zdarzyło, poranek jak każdy inny; cisza, chłodniejsze powietrze, większa wilgotność pełnząca ulicami miasta, puste, ziewające z nudy chodniki. Miałem za sobą ulice Słoneczną, Kapucyńską i Jaderną. Teraz kolej na Kopernikową, czuję to w rękach. Wąska uliczka, podobna do dziesiątek innych, wychodząca na niewielki plac z fontanną, przy której zawsze odpoczywam. I nie tylko. Obserwowanie podpiętych bywalców nocnego baru „Modi” poprawia mi nastrój, zepsuty monotonią mojej pracy.

Nie jest lekko.

Ekipy techniczne zaopatrzyły się w nowoczesne pojazdy czyszczące i groziło mi, że skończę na ulicy. Cóż, skończyłem na ulicy, ale z ubezpieczeniem w kieszeni i z jaką taką pensją, która ratuje mnie przed losem bezdomnego wystającego przy centrum handlowym.

Pewnie stwierdzicie, że to czcza gadanina, bo gazety są pełne ogłoszeń o pracy. Co z tego, skoro każde kończy się zdaniem: znajomość angielskiego w mowie i piśmie.

Wyczerpany i senny, usiadłem na ławce przy fontannie. Rozprostowałem nogi, odłożyłem narzędzia i machinalnie sięgnąłem po fajki. Przy papierosie palce zapomniały o zmęczeniu i po chwili wypuściłem z ust pierwszy kłęb dymu. Wreszcie fajrant, pomyślałem. Papieros powoli się dopalał, więc upomniałem go w myślach, żeby się zaniechał nie spieszyć, bo i tak skończy na mojej szufelce.

Światła nocy gasły opieszale i niechętnie.

Po intensywności brzasku byłem w stanie określić godzinę prawie co do sekundy. Choćby teraz: jest czwarta trzydzieści siedem i dwanaście sekund. Wcale nie? Wasze niedopatrzenie, powinniście czytać to opowiadanie o wpół do piątej rano. Odrobina szacunku dla starszych nie zaszkodzi.

Gdy tak medytowałem nad upływem czasu i przypatrywałem się dogasającemu papierosowi, z baru wytoczyli się trzej rozbawieni goście. Ich strój i zachowanie zdradzały, że pracują w tej samej firmie i mają wspólny powód do nocnego balowania. W podnieceniu krzyczeli jeden przez drugiego, ale nie wyglądali, jakby byli na siebie źli. Pewnie należeli do tych osób, które muszą być głośne, żeby podbudować swoje ego. A może się mylę?

Cóż, jestem tylko nocnym zmiataczem ulic.

– Jak możesz twierdzić, że ceny ropy będą spadać?! Tak nedorzeczne pomysły lepiej zachowaj dla siebie, bo jak szef się dowie, to możesz iść prosto do kasy po ostatnią wypłatę, a i tak nie wiem, czy by ci jej nie obcięli za sianie paniki. Serio, stary, następnym razem dobrze się zastanów, zanim coś palniesz, bo w dzisiejszych czasach za brednie słono się płaci! Kumasza? Zapamiętaj to sobie. Ściemy mogą sadzić politycy, ale ty jesteś poważnym analitykiem!

To był ten po lewej. Dla rozróżnienia naprędce nadałem im przezwiska. Lewak – po lewej, Prawak – po prawej, Kołek – pośrodku (już dawno nie wymyśliłem tak dobrej ksywki!).

A zatem Lewak robił wyrzuty Prawakowi, a Kołek tylko przewracał oczami z niedowierzaniem.

– Myślicie, że zakażą aborcji? – Kołek najwidoczniej nie mógł się przebić ze swoim pytaniem. Prawak nabrał powietrza w płuca, aż mu się marynarka na klatce uniosła.

– Ściemy? Że niby ja sadzę ściemy? No, stary... Nie masz pojęcia, jakie rezerwy ukrywają Amerykanie! Właśnie dziś wywęszyłem, że chcą te rezerwy odtajnić. To będzie bomba na cały świat. Ceny ropy spadną na łeb, na szyję, a ci, co mają zapasy, będą w szoku! Moje analizy to nie brednie! – Napuszył się jak paw. Zdążył jeszcze dla podkreślenia wagi swoich racji wyprostować palec wskazujący lewej ręki, gdy Kołek – mój faworyt – objął ich obu z Lewakiem ramionami i zde gustowany wymamrotał:

– Naprawdę uważacie, że aborcja będzie ten... niele... ten... niele...?

– Nielegalna – dokończyłem. Możecie mi wierzyć albo nie, ale nie mam w zwyczaju mieszać się do cudzych rozmów. Już nieraz tacy podchmieleni imprezowicze wyładowywali się na mnie, żeby mieć choć odrobinę satysfakcji z pustego filozofowania.

Kołek rzucił mi dziękczynne spojrzenie, ale Lewak i Prawak zgromili mnie wzrokiem. Jednym jedynym słowem śmiałem przerwać im ważną prywatną rozmowę, a na dodatek pozwoliłem sobie zakłócić polemikę na temat ceny najważniejszego towaru na światowych rynkach.

Cóż, jestem tylko nocnym zmiataczem ulic.

– To jest klu–czo–wa kwestia – wybełkotał Kołek i uwiesił się na towarzyszach. – Światowe zapasy zaraz się skończą – ciągnął powoli – a aborcja wymknęła nam się z rąk...

– Tu rzucił przelotne spojrzenie swoim kompanom. – ...i nawet nie podejrzewamy...
– Głośno przetknął ślinę. – ...że rozwiązanie jest w rękach... – Dramatyczna pauza.
– ...ciężko pracującej klasy robotniczej... – Podniósł głos. – ...która nam wszystko w try miga wyklaruje!

– Założę się o butelkę whisky – wtrącił się Lewak – że nasz samozwańczy zbawiciel zgadnie, jak się jutro... o, przepraszam, już dziś... no więc, jak się zachowa giełda w kwestii aborcji... Co ja pieprzę.

– Chyba chciałeś powiedzieć: ropy – wytknął mu Prawak. – Już ci się wszystko pokićkało, myślisz o ropie, bełkoczesz o abory.... abore... Cholera, jak to się nazywa?

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie, jakby się pierwszy raz na oczy widzieli. Wiele wskazywało na to, że zaraz zaczną się sobie przedstawiać. Ich pantomimę ucięła niepohamowana salwa śmiechu, od której zadrżały szyby w oknach budynku po drugiej stronie placu.

Wybuch radości trwał kilka wyjątkowo długich minut. Moją twarz pokryły kolejne zmarszczki, a peł upadł na ziemię. Podniosłem się i sięgnąłem po narzędzia, żeby po sobie posprzątać. Trzej mędrcy spowaźniali i zaczęli się szeptem namawiać. Następnie, podpierając się wzajemnie, ruszyli w dalszą drogę. Ich zniknięcie mało by mnie obeszło, gdyby nie to, że w miejscu, gdzie stali, została butelka. Stała tam samotna, parę centymetrów od krawężnika. Wytyczyłem wzrok, żeby się upewnić, czy dobrze widzę. Funkiel – nówka, nieśmigana. Kolorowa etykieta krzyczała, że to droga, nie byle jaka whisky.

Co to ma znaczyć?!

Czy to zabawa w ciuciubabkę? Popatrzyłem w kierunku, gdzie zniknęli pocieszni filozofowie, spodziewając się, że któryś z nich zaraz wyskoczy zza winkla i demonstracyjnie zwinie flaszkę. Różnych trików już na mnie próbowali, zwłaszcza takich z banknotami przywiązanyymi na cienkiej żyłce.

Nikt się nie pojawił, butelka nie była obwiązana sznurkiem, plac przed fontanną był pogrążony w porannym śnie. Obecność flaszki przyprowadziła mnie o ból głowy. Postanowiłem poczekać na rozwój sytuacji. Przynajmniej przez chwilę. Odłożyłem narzędzia, zapaliłem kolejnego papierosa i usiadłem na ławce.

Nie mogę jej potraktować jak śmiecia, przemknęło mi przez myśl, przecież jest nietknięta. Kto to widział, żeby wywalić nietkniętą flachę! Usilnie próbowałem przypomnieć sobie zarzuty stawiane mi przez szefa w związku z uchybieniami, jakich rzekomo miałem się dopuszczać w czasie pracy (póki co, tylko w jego mniemaniu), ale o likwidacji dziewiczej flaszki whisky nie było ani słowa. Zacząłem się mocniej zaciągać papierosem, ale nawet nikotyna nie pomogła moim zwojom nerwowym. Byłbym skazany na bezradność, co mogło mieć nieprzewidywalne konsekwencje, gdyby nie kurduplowata Didi, która wypadła z baru „Modi” w szampańskim humorze i z automatu ruszyła w moim kierunku.

Didi to striptizerka tańcząca w barze na wypolerowanej na błysk rurze (korci mnie, żeby zapytać, kto ją im poleruje, ale jeszcze nie zebrałem się na odwagę).

Tak się składa, że Didi kończy robotę akurat w czasie mojego porannego odpoczynku przed barem, dlatego nieraz się zatrzymuje, żeby sobie ulżyć i strzepnąć z siebie choć trochę nocnego zmęczenia.

Tego dnia Didi najwyraźniej była w dobrym nastroju. Jej kędzierzawe włosy falowały, a obfity biust wyglądał tak, jakby zaraz miał stanąć w szranki w turnieju (kategoria: podskakiwanie i wyzywający wygląd). Didi przeskoczyła butelkę, zupełnie ją ignorując, pospiesznie usadowiła się tuż przy mnie i lewą dłoń delikatnie chwyciła mnie za udo. Małpa, dobrze wie, jak mnie to rajcuje.

– Mój drogi zamiataczu, mam dwie wiadomości, jedną dobrą, a drugą jeszcze lepszą. Którą chcesz usłyszeć najpierw? – Didi wyduła usta jak do pocałunku, ale świetnie wiedziała, wredna małpa, że człowiekowi w moim wieku nie wypada nawet napomknąć o świntuszeniu z taką ślicznotką.

– Didi, nie możesz mnie tak atakować – zaprotestowałem niepewnie. – Nie rób do mnie dzióbka. I tak wiem, że chcesz fajkę, którą zresztą zaraz cię poczęstuję.

Didi się nie wzbraniała, sięgnęła po papierosa i po pierwszym zaciągnięciu jej twarz znów rozpromienił figlarny uśmiech. Tylko worki pod oczami zdradzały, że okres dojrzewania już dawno ma za sobą.

– Ależ ja wcale nie żartuję, dziś jest mój wielki dzień. Daj mi powiedzieć. Którą wiadomość chcesz usłyszeć najpierw? – Zaciśnęła palce na moim udzie, co poczułem nawet przez dość gruby kombinezon, który noszę również latem. Fiu, fiu, ona nie żartuje!

– Dawaj tę dobrą nowinę – odpartem bez zastanowienia, nie chcąc ryzykować utraty czucia w nodze. Nigdy byście nie uwierzyli, ile siły w rękach ma taka zwykła striptizerka, co noc wywijająca tyłkiem na rusze.

– Dobra nowina jest taka – Didi zamrugnęła – że dziś kończę z pracą striptizerki. – Palce zwolniły uścisk, a ja pokiwałem głową z uznaniem. – Chcesz usłyszeć jeszcze lepszą nowinę? – Nie poddawała się. Aż się trzęsła z niecierpliwości. Znów wyduła usta, kokieterijnie zatrzepotała rzęsami i nie czekając na moją odpowiedź, wypaliła:

– Ta lepsza wiadomość jest taka, że dziś zaczynam pracę głównej striptizerki. Głównej! – podkreśliła Didi i roześmiała się perliście. Musiała mieć niezły ubaw z mojego zażenowania.

– A jest jakaś różnica? – spytałem naiwnie. – Tak czy siak będziesz tańczyć na rusze... O co tyle krzyku, Didi? Jaja sobie ze mnie robisz?

Didi na chwilę zamilkła, widać dotarło do niej, że przesadziła z tymi niespodziankami, ale jej wahanie nie trwało długo. Podniosła się i wolną ręką chwyciła flaszkę whisky.

– Musisz mieć zły dzień, skoro nie pojmujesz prostej różnicy między dobrą nowiną a jeszcze lepszą nowiną. Wszystko ci wytłumaczę. Gdzie ta butelka do tej pory stała? – Odłożyła flaszkę na pobocze. Widząc, że nie nadajemy na tych samych falach, ciągnęła dalej:

– Butelka stała na skraju drogi. W tym miejscu nikt jej nie zauważył, mimo że taka ślicznusia i wcale nie taka tania. A teraz położymy ją na środku drogi. – Didi stała już na ulicy (za chwilę czeka mnie sprzątnięcie, śmieci było więcej niż zwykle) i położyła sobie butelkę przy stopach. Wyprostowała się dumnie i zadowolona wskazała palcem flaszkę. – Już łapiesz? Wiesz, ile ta butelka teraz znaczy? Stoi na samym środku, więc każdy, kto będzie przechodził obok, musi ją zauważyć. Mnie też będą musieli dostrzec, bo główna

striptizerka decyduje o programie, o tym, która, ile i kiedy tańczy. – Didi podbiegła do mnie, skradła mi całusa, po czym zniknęła w bocznej uliczce.

– Też mi coś! – mruknąłem, zaskoczony przedstawieniem. A co ze mną, pomyślałem, nie płacę mi za to, żebym decydował, czy ważniejsza jest butelka stojąca na skraju ulicy, czy ta na samym środku. Ani która, kiedy i ile. Za dużo atrakcji jak na jeden poranek. To ci zagwozdka. Sięgnąłem po trzeciego papierosa.

Cóż, jestem tylko nocnym zmiataczem ulic.

Butelka whisky stała na środku ulicy i drażniła niewinnością wszystkie moje zmysły.

Po piątym czy szóstym maszku wstałem i podszedłem do niej rozeźlony.

Promienie budzącego się słońca leniwie gładziły jej szczupłą talię, wyczarowując na pokrytym rosą asfalcie wspaniałą grę kolorów.

– Co z tobą? – odezwałem się do flaszki. – Sprzątnąć cię nie mogę, bo jesteś pełna, a wypić mi nie wolno, boś nie moja. Tak, koleżanko, należysz do swoich panów, którzy przed chwilą tu stali i filozofowali. Pijani jak... – Machnąłem ręką. Znużyła mnie ta „pogawędka”. Z zamyślenia wyrwał mnie cichy śmiech, dobiegający z półmroku jednej z uliczek przy placu. Obejrzałem się, żeby dobrze przyjrzeć się intruzowi, który zakłócił mój nocny (a właściwie już poranny – spójrzcie na zegarki) monolog.

Zwalisty, zarośnięty i nie pierwszej młodości mężczyzna stał na rogu ulicy i opierał się o ścianę budynku. Z uporem maniaka wlepił we mnie swoje zapijaczone, senne oczy i tylko kręcił głową z politowaniem. Ręce trzymał swobodnie w kieszeniach, z rozpiętej marynarki w prążki wystawał pokaźny brzuch. Mimo że wsparty o ścianę, pijus kiwał się na ugiętych nogach. Od razu wydał mi się niesympatyczny. Taki prostaczek, pomyślałem w pierwszej chwili. Pospolity cham, który z nudów wyśmiewa uczciwie pracującego człowieka (czyli mnie, a wy nie uśmiechajcie mi się tu pod nosem, was nie znam!).

Pewnie pomyślał, że mi odbiło. Trzeba przyznać, że człowiek gadający do butelki o wpół do piątej rano może budzić nieufność. Ale spróbujcie tylko popracować jako nocni zmiatacze! Nie można w przerwie wyskoczyć na kawkę ani na piwko, sklepy pozamykane, do nocnych lokali mnie nie wpuszczają, a najgorsze jest to, że nie ma do kogo gęby otworzyć. Zdarza się, że gadam do lampy ulicznej, pytam, dlaczego nie świeci, a jeśli uparcie milczy (to standard), robię jej przysługę i dokładniej zmiatam jej otoczenie. Kiedy indziej wyklinam bezdomnego kota i opieprzam bramę, którą lokatorzy zostawili otwartą i wcale ich nie martwi, że skrzypiące zawiasy zakłócają ciszę nocną.

– Szy-szy-ry-szyyyy! – Nieznajomy wyszedł z cienia (domu i własnego), a potem niespiesznym krokiem, zataczając się, podszedł bliżej. Ścisłej biorąc, podszedł do butelki.

– Szy-szy-ry-szyyyy! – powtórzył jeszcze raz, a złośliwy uśmieszek wskazywał, że to stękanie sprawia mu przyjemność.

– Żle się pan czuje? – zapytałem spokojnie. Moje pytanie go rozbawiło. W ciszy poranka jego śmiech odbijał się echem od każdego budynku i powracał do nas zwielokrotniony.

– Ja? – Wskazał na siebie palcem i zaraz wybuchnął gromkim śmiechem. Wypiął brzuch, aż się wystraszyłem, że mu się kręgosłup złamie i w dwóch kawałkach upadnie

na wilgotną jezdnię. Śmiejąc się do rozpuku, pokazywał to butelkę, to mnie. Chyba chciał mi przekazać, co wprawiło go w tak doskonały humor.

– No, niech pan ją kopnie! – rzuciłem na zachętę.

Przestał się śmiać. Plac uciął, facet zatoczył się na krótkich krzywych nogach, łypnął na mnie przekrwionymi oczami, a potem zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. To chyba jakiś zakompleksiony księgowy, przemknęło mi przez głowę. Do późnej nocy gapi się w komputer, a potem pacyfikuje swoją małą obolałą duszyczkę chlaniem.

– Przecież jest pełna! – ryknął.

– No właśnie. Jak się rozbije w drobny mak, będę ją mógł sprzątnąć. Inaczej nie mogę. Co by to było, gdybyśmy zaczęli wyrzucać do śmieci nienapoczęte flaszki whisky!

Intruz spojrzał na mnie nieufnie i pogroził mi palcem prawej ręki:

– Ja ci dam! Żartów ci się zachciewa. Jaki dowcip masz w zanadru? – Rozejrzał się wokół podejrzliwie. Jego małe zaczerwienione oczka zlustrowały całe otoczenie, próbując zarejestrować każdy najdrobniejszy ruch. – Gdzieś tu musi być ukryta kamera. Przyznaj się! – Jego wewnętrzna równowaga została poważnie nadwątlona. – Flaszka na środku drogi – ciągnął – na dodatek pełna, nietknięta, szkocka whisky na słowackiej ulicy. Ha, ha, ha! A to ci dopiero! – Zamachnął się nogą, ale w ostatniej chwili się rozmyślił i jeszcze raz mi pogroził. – Nie myśl sobie, że dam się nabrać, koleżko, znam ci ja te wszystkie dyrektywy z tej całej... Brukseli... I wiem, jak mam się zachowywać jako ten... członek Unii! Rozumiesz! Jestem obywatelem Europy!

Ostatni raz spojrzał spode łba na butelkę, obrócił się i powłócząc nogami, przepadł w mroku.

Jak tak dalej pójdzie, to przez tych naszych inteligentów wypalę przy tej flaszce całą paczkę fajek. Musiałem zapalić, bo już nawet nie pamiętałem, kiedy dopalił mi się ostatni papieros. Przez to mędrkowanie anonimowego obywatela Europy straciłem nad sobą panowanie.

Cóż, jestem tylko nocnym zmiataczem ulic.

Co z tobą, flaszeczko? Mam cię tu zostawić? Samą na środku słowackiej drogi, rzuconą na pastwę tych wszystkich kanalii, co to najpierw chleją, a potem burzą porządek świata?

Wróciłem na ławkę z postanowieniem, że dziś skończę pracę trochę wcześniej. Zaczęłam wpadać w dołek. Z tego wszystkiego zapomniałem o nieprzyjemnym mrowieniu w rękach, które tak szczegółowo opisałem wam na pierwszej stronie, ale nie ma co się dziwić, że wydarzenia nocy skierowały waszą uwagę na inne tory. Teraz na pewno czekacie w podekscytowaniu na finał mojej nocnej mordęgi (no dobra, niech wam będzie – porannej).

Otóż finał był prozaiczny.

Za rogu dobiegł mnie odgłos klaksonu, a zaraz potem – pisk opon i stłumione głosy: „Dowód osobisty, prawo jazdy. A czy wie pan, że to jest droga jednokierunkowa? Co?! I co z tego, że jest rano? No i? Panie kierowco, rano przepisy ruchu drogowego też

pana obowiązują! Z księżycą pan spadł? Nie? Naprawdę? Zapłaci pan mandat? Nie?! W takim razie proszę odstawić samochód!”...

Po chwili miałem okazję ujrzeć pirata drogowego na własne oczy. Wynurzył się zza rogu, tocząc pianę z ust. Szedł rażnym krokiem, nie oglądając się za siebie. Gdybym go zobaczył w jakimś westernie, na pewno trząsnąłbym portkami ze strachu.

– Herr Gott! Jasny gwint! – zaklął, zrobił krótki rozbieg i z całej siły kopnął stojącą mu na drodze butelkę whisky.

Odłamki szkła poszybowaty w górę jak tysiące kolorowych baloników. Urządziły sobie wielobarwny wyścig z alkoholem. A choć każde szkiełko poleciało w inną stronę, nie było wątpliwości, że należą do siebie nawzajem, bo materia jest wieczna, nieskończona, niepodzielna, nawet jeśli przy użyciu siły podzielimy ją na milion cząsteczek, a później brak nam siły, żeby je złączyć w jedno. Matka natura i tak nam pokaże, kto tu rządzi, kto ma władzę nad ludźmi, którzy są zaledwie przymusowymi obserwatorami całego widowiska, niekiedy zachowującymi się gorzej niż inne zwierzęta.

No i dobrze, stwierdziłem, teraz pozamiatam szkło i kończę robotę. Już mam tego kramu powyżej uszu. Chwyciłem swoje narzędzia pracy i zdecydowanym krokiem ruszyłem na miejsce czynu. Przyznaję, że niekiedy budzę w ludziach respekt, zwłaszcza nad ranem; oczywiście z miotłą w garści i ze zmarszczonym czołem.

Mój stanowczy manewr speszzył pirata.

– Nie wiedziałem... Nie chciałem.... Zaraz zapłacę. – Błyskawicznie wyjął z kieszeni banknot pięćdziesięcioeurowy, rzucił go na ziemię i zniknął za najbliższym rogiem.

– Dziwak – skwitowałem z banknotem w dłoni. Pozamiatałem rozbite szkło, odniosłem narzędzia do magazynu i skończyłem zmianę.

Ale zanim poszedłem spać, wstąpiłem do baru „Modi”. A co mi szkodzi? Spróbuję trochę tej szkockiej whisky, przynajmniej na drugi raz będę wiedział, czy spożyć na miejscu, czy kopnąć. Nie mogę przecież zawieść naszych obywateli, którzy są porządnymi członkami tej... no, tej... Unii!

Cóż, jestem tylko nocnym zamiataczem ulic.



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, cykl *Latanie* (technika mieszana)